



Salomonowy wyrok

2020-11-18

W „Czasie”, nieocenionym źródle informacji o XIX-wiecznym Krakowie, 10 listopada 1867 r. ukazała się notatka złośliwie zatytułowana „Les bons villageois”, czyli „Dobrzy włościanie”. Tytuł nie był przypadkowy. Tekst dotyczył bowiem rozprawy, która zdaniem redakcji, była bezsprzecznym dowodem „niesłuchanego upadku moralnego, jaki się między naszym, pod względem moralności niezbyt wysoko stojącym, ludem wiejskim rzadko trafia”.

Michał Kozioł

Była to relacja z rozprawy, która zakończyła się dwa dni wcześniej. Na ławie oskarżonych zasiadali małżonkowie S. rodem z Woli Duchackiej. Rodzina nosząca to nazwisko mieszka na Woli od przeszło dwustu lat, a jej członkowie położyli znaczne zasługi dla rodzinnej wsi, czyli dzisiejszej dzielnicy Krakowa. Dlatego też ograniczymy się tylko do pierwszej litery.

Rozprawa, choć jej przedmiotem były także wcześniejsze wydarzenia, dotyczyła przede wszystkim pożaru, który wybuchł na Woli Duchackiej 16 czerwca 1867 r. Spłonęła wówczas chata oraz stodoła należące do Szymona S. Na szczęście zarówno gospodarz, jak i parobek uratowali się z płomieni, choć ten ostatni „z przestrachu straciwszy przytomność umysłu biegał po palącej się ze wszystkich stron izbie”. Pożar zniszczył dwa budynki ze znajdującymi się w środku ruchomościami. Straty oszacowano na znaczną kwotę 665 złotych reńskich i 70 krajcarów. Już w czasie trwania pożaru sąsiedzi zgodnie uznali, że zabudowania musiały zostać celowo podpalone. Sam Szymon S. nie tylko zgadzał się z tą opinią, a nawet „obwiniął o tę zbrodnię żonę swoją, którą z domu dla pijaństwa wypędził”. Annę – takie bowiem imię nosiła małżonka pogorzelca – zatrzymano w kilka dni po pożarze. Jeszcze przed odesłaniem do aresztu przyznała się podczas rozmowy z wójtem do podpalenia własnego obejścia. Zeznanie to potwierdziła przed sędzią śledczym. Twierdziła, że dom podpaliła, aby zemścić się na swoim mężu.

Motyw zbrodni

Szymon i Anna mieli 20-letni staż małżeński. Szymonowa, kobieta 40-letnia – zdaniem sprawozdawcy sądowego „Czasu” odznaczająca się niemiłą powierzchownością – zeznawała, że przez pierwsze 12 lat jakoś się im układało. Mąż był dobry, bijał tylko czasem. Ale od ośmiu lat jest zdecydowanie gorzej. Mąż ją „mordował” i z „domu wypędzał, i nic jeść nie dawał, z tego się musiała żywić, co z domu ukradła”. Na koniec przetrącił jej rękę. Nie mogła więc najać się do roboty u któregoś z sąsiadów, aby zarobić kilka groszy. Wyniosła więc z domu pierzynę oraz poduszkę i zastawiła za 5 reńskich. Pieniądze się szybko rozeszły, także i na gorzałkę, no bo z tej biedy i wstydu pić musiała. Został jej tylko jeden cent. Nie mogąc ścierpieć biedy i głodu, kupiła za tego centa pudełko zapalek. Jak później zeznawała, kręciła się koło swojej chałupy i kiedy zmiarkowała, że mąż oraz parobek zasnęli, podpaliła strzechę. Potem siadła w krzakach i przypatrywała się ogniovi, a gdy wszystko się wypaliło, położyła się spać w rowie na roli sąsiada. Już w sali sądowej prowadzący rozprawę Michał Fiałkiewicz, przewodniczący C.K. Sądu Krajowego w Krakowie, zadał podsądnej pytanie: „Czy nie pomyślałaś sobie, że mąż i parobek spalić się mogą wraz z chałupą, jak ich ogień nagle ogarnie?”. Na co Anna S.



odpowiedziała: „Ja tam o niczem wtedy nie myślałam, bom była taka jak głupia”.

Szymon S., który w czasie rozprawy występował w podwójnej roli, bo był jednocześnie i oskarżonym, i świadkiem (ówczesna austriacka procedura dopuszczała taką sytuację), jako świadek skorzystał z dobrodziejstwa prawa i nie chciał zeznawać przeciwko własnej żonie. Jednak jako oskarżony nie mógł odmówić zeznań.

Zeznania drugiej strony

Szymon S. – jak donosił „Czas” – oświadczył, „że żona jego w ostatnich czasach rozpiła się zupełnie, wszystko z domu wynosiła i marniła i że jej wcale od siebie nie wypędział, ale ona owszem po karczmach wysiadywała”. W kwestii złamania ręki opowiadał, że „znalazłszy ją raz w karczmie, jakoś trzy tygodnie przed ogniem, chciał ją »utłuc« kijem przez plecy, by poszła do domu, ona się ręką zastawiła, i wtedy jej rękę złamał, ale kazał jej tę rękę na drugi dzień »naprawić« i sam jej maść robił”.

W czasie rozprawy odczytano opinię, którą Annie wystawił urząd parafialny. Nie była ona pochlebna. Przedstawiała Annę S. jako nałogową pijaczkę oraz główną przyczynę złego pożycia małżeńskiego, które było zgorszeniem dla całej wsi. Odczytano także zeznania świadków, gdyż c.k. sąd uznał za zbyt liczne wzywianie ich na rozprawę. Teraz mógł już zabrać głos prokurator Doliński. Żądał, aby sąd uznał Annę S. winną zbrodni podpalenia i ze względu na znaczne straty, jakie spowodował pożar, skazał ją na maksymalną stosowaną w takich przypadkach karę, czyli 15 lat ciężkiego więzienia. Co do jej męża Szymona, to postulował, aby uznać go za winnego poważnego uszkodzenia ciała i skazać na „cztery miesiące ciężkiego więzienia obostrzonego i uzupełnionego dwoma postami co tydzień”. Argumentem przemawiającym za tak surową karą dla obu podsądnych był jego zdaniem fakt, że dopuścili się przestępstw na szkodę współmałżonków.

Godny rywal

Na szczęście dla państwa S. prokurator Doliński napotkał godnego przeciwnika. Obrońcą w tym procesie był bowiem mecenas Mikołaj Kański, postać dziś prawie zupełnie zapomniana, a bardzo zasłużona dla Krakowa oraz dla krakowskiej palestry.

Mecenas Kański darzył sympatią nie tylko lud jako całość, ale także jego poszczególnych przedstawicieli. Broniąc Anny S., stanowczo podnosił, że oskarżona w chwili popełnienia przestępstwa była niepoczytalna. Znajdowała się bowiem w „stanie wysokiego uniesienia umysłu, że zbrodnia przez nią popełniona wcale poczytaną jej być nie może”. W związku z powyższym wnosił o uniewinnienie podsądnej. Jednak prokurator Doliński bardzo sprytnie odpierał przytoczone przez obronę argumenty. Zgadzał się zasadniczo z tezą, iż złamanie ręki jest niewątpliwie do pewnego stopnia dramatycznym przeżyciem. Ale podkreślał jednocześnie, że „złe obchodzenie się męża z obwinioną trwało tak długo, że mogła ona na takowe zobojeźnić”. Bardzo istotny w całej sprawie był zdaniem oskarżenia także fakt, że od złamania do podpalenia upłynęły aż trzy tygodnie. Podsądna miała więc czas oswoić się ze swoją sytuacją, czyli nie można w tym przypadku mówić o „gwałtownym uniesieniu”.

Po wysłuchaniu wszystkich argumentów sąd udał się na naradę. Po powrocie składu sędziowskiego, doktor Michał Fiałkiewicz ogłosił wyrok „skazujący Annę S. na 8 lat ciężkiego więzienia”, a Szymona S. na „1 miesiąc aresztu”. Stosunkowo łagodny wyrok sąd uzasadniał w przypadku Anny S. nie tyle jej



**Magiczny
Kraków**

stanem ducha, ale konsekwencjami jej czynu, które nie okazały się aż tak bardzo tragiczne. Natomiast w przypadku Szymona S. sąd stwierdził, że „nie przyjmuje za udowodnione, że tenże miał zamiar złamania poszkodowanej ręki, i że owszem chciał zrobić użytek z przysługującego mu prawa karcenia żony”.